

Kamil Janicki, Newsweek, nr 1-2/2020, 30.12.2019-12.01.2020 r.

Alberta nikt nie musiał pytać, dlaczego wybrał ten zawód. Już jako 11-letni chłopiec ogłosił: „Gdy skończę szkołę, zostanę katem”. Tak samo jak ojciec i stryj

Pierwszy był Henry Pierrepont. Ten robotnik z Nottinghamshire w Anglii Środkowej w wieku 22 lat miał za sobą pracę w kamieniołomach, fabryce włóczki, w zakładzie stolarskim i u rzeźnika. Marzyły mu się podróże i przygody, jednak w 1901 roku, trzy tygodnie po śmierci królowej Wiktorii, wysłał list do samego Home Secretary, ministra spraw wewnętrznych Zjednoczonego Królestwa. Upraszał, by rozważono jego kandydaturę na kata.

Po latach przyznał, że uczestnictwo w egzekucjach wydawało mu się zajęciem „moralnie odstręczającym”. O tym, na jaką posadę aplikuje, wstydził się mówić nawet pracownikom więzienia, gdzie odesłano go na badania, a co dopiero krewnym czy przyjaciółom. Podskórne poczucie, że robi rzecz graniczącą ze zbrodnią, nie wyzbył się chyba nigdy. W latach 1901-1910 powiesił przeszło stu ludzi. Z listy oficjalnych brytyjskich katów skreślono go wtedy, gdy na jedno ze straceń przybył pijany i wdał się w bójkę ze swoim asystentem.

Może właśnie z uwagi na ten incydent starszy brat Henry’ego, Thomas, mawiał, że człowiek niezdolny wieszać bez sięgania po butelkę nie powinien wieszać w ogóle. Wiedział coś na ten temat. W 1906 roku, za namową brata, został najpierw asystentem katowskim, a następnie katem. Czekala go upiornie długa i owocna kariera.

W ciągu 39 lat Thomas Pierrepont uśmiercił 294 skazańców. Szczycił się swoim kunsztem, dokładnością, ale zwłaszcza - imponującym tempem.

LINA NIE MOŻE BYĆ ZBYT DŁUGA

BRYTYJSKIE EGZEKUCJE JESZCZE W POŁOWIE XIX WIEKU wykonywane były publicznie i stanowiły rozrywkę dla żadnej emocji gawiedzi. Za czasów Pierrepontów był to już proceder potajemny, oparty na precyzyjnych regułach. Nie dopuszczano żadnych odstępstw od instrukcji i żadnych opóźnień.

Ze względów humanitarnych skazańców powinno się uśmiercać w sposób oszczędzający cierpień, natychmiast po wyprowadzeniu ich z celi, by nie mieli okazji do szamotaniny, błagań i prób ucieczki. Może najważniejszy był jednak prestiż wymiaru sprawiedliwości. Ten zaś wymagał, by kat zachowywał należyty profesjonalizm, wstrzeźliwość i dyskrecję.

Więźniowie oczekujący na wykonanie kary śmierci przebywali w specjalnych celach przylegających bezpośrednio do sal straceń. Byli pilnowani całą dobę przez dwóch funkcjonariuszy. Dostarczano im karty do gry, szachy, książki i gazety. Jak podkreśla Steve Fielding w książce poświęconej rodzinie Pierrepointów, strażnikom zalecano, by zasiadali do gry z oczekującymi stryczka więźniami, jeśli tylko zostaną o to poproszeni.

W każdej egzekucji brało udział dwóch katów. Jeden w roli głównego wykonawcy, drugi jako jego asystent. Mężczyźni - bo zawsze byli to mężczyźni - przybywali do więzienia po południu w dniu poprzedzającym stracenie. Od władz otrzymywali dane o wzroście i wadze więźnia. Mogli też przyjrzeć się skazańcowi w taki sposób, by on ich nie widział. Musieli też sprawdzić działanie szafotu.

Większość podłogi każdej sali straceń zajmowały klapy zapadni, otwierane przy użyciu dźwigni. Zadaniem katowskiego duetu było wyliczenie właściwej długości liny. Gdyby skazańca powieszono na zbyt krótkiej w stosunku do jego postury, umierałby powoli i w męczarniach. Jeśli powróż byłby za długi, mogłoby dojść do oderwania głowy od korpusu. Podczas próby wieszano worek ważący tyle samo co więzień. Następnie zwalniano zapadnię, by upewnić się, że wszystko przebiegnie bez przeszkód.

O poranku dokonywano ponownego sprawdzenia aparatu i przygotowywano linę. Egzekucja ruszała na znak dany przez obecnego na miejscu podszyfą. Kat wkraczał do celi, wiązał ręce więźnia na plecach i wyprowadzał go w asyście dwóch funkcjonariuszy. Skazańca ustawiano pośrodku zapadni, w miejscu uprzednio oznaczonym białą kredą.

Kat zakładał ofierze kaptur na głowę i zawiązywał pętlę. Asystent w tym czasie krępował nogi. Gdy zszedł z zapadni, kat pociągał za dźwignię. Potem często odsłaniał jeszcze piersi straconego, by ułatwić zadanie lekarzowi. Członek personelu więziennego szpitala upewniał się, że nastąpiła śmierć, po czym ciało pozostawiano na stryczku na godzinę. Trupa ściągali kat i jego asystent.

LICZY SIĘ TEMPO

THOMAS PIERREPOINT TWIERDZIŁ, ŻE JEST ZDOLNY WYKONAĆ WSZYSTKIE CZYNNOŚCI - od wyprowadzenia więźnia do otwarcia zapadni - w ciągu jednej minuty. Odtajnione w ubiegłej dekadzie dokumenty służby więziennej wskazują, że z wiekiem jego obsesja na punkcie szybkości tylko rosła. Wieształ jeszcze jako 70-latek, mimo że nie miał już pewnych dłoni, a wzrok odmawiał mu posłuszeństwa.

„Jest rzeczą oczywistą, że uważa tempo za wyznacznik skuteczności. Działa tak szybko, że ledwie starcza mu czasu na upewnienie się, czy asystent opuścił zapadnię” - alarmował lekarz obecny podczas jednej z późnych egzekucji Thomasa. „Ta mania prędkości może być związana z chęcią dowiedzenia, że jego umiejętności wcale nie stępiły się z wiekiem” - zaznaczył ten sam świadek w raporcie do władz. Z kolei anonimowy urzędnik służby więziennej donosił: „W mojej ocenie podczas egzekucji pan Pierrepoint zachował tylko cień marginesu bezpieczeństwa dla upewnienia się, że asystent zszedł z zapadni, zanim pociągnięto za dźwignię”.

Magazyn „Independent”, który w 2006 roku upublicznił cytowane raporty, opatrzył je sensacyjnym nagłówkiem: Kat niechcący niemal zabił asystenta. W rzeczywistości upadek do otworu pod klapą nie groził śmiercią, jeśli nie miało się na szyi pętli. Wiadomo o tym, bo w XX-wiecznej Wielkiej Brytanii dochodziło do takich incydentów. Kończyły się wstydem, skręconą nogą i reprimendą przełożonych. Ale nie zgonem ani nawet zwolnieniem z posady. Także doniesienia na Thomasa Pierrepointa nie przyniosły skutku.

Stary kat przeprowadzał egzekucje aż do 1946 r. Cierpiał na reumatyczne zapalenie stawów i chodził o lasce, ale nie chciał przestać wieszać. Ostatniego skazańca uśmiercił jako 76-latek. Po cichu odebrano mu uprawnienia, jego samego nigdy o tym nie informując. Zmarł niespełna dekadę później, ale na nim historia katowskiej dynastii wcale się nie zakończyła. Trzeci z Pierrepointów trudniących się upiornym fachem, miał się stać najślawniejszy.

DZIESIĘĆ FUNTÓW OD STRYCZKA

W WIELKIEJ BRYTANII DZIAŁALI OFICJALNI KACI, ale w XX wieku żaden z nich nie mógł powiedzieć, że wieszanie stanowi jego pracę. System więziennictwa nie zatrudniał wykonawców kary śmierci na stałych etatach. Utrzymywano tylko listę kilku bądź z rzadka kilkunastu osób uprawnionych do zabijania skazańców. Łącznie w XX wieku przewinęło się przez nią 39 nazwisk. Mniej więcej połowa z uprawnionych tylko asystowała, nigdy nie awansując do rangi głównego kata. Byli tacy, z których zrezygnowano już po jednej egzekucji

lub którzy odeszli, po tym jak wzięli udział w zabiciu kilku skazańców. Większość wytrzymywała kilkanaście, najwyżej dwadzieścia kilka straceń.

Wynagrodzenie wypłacano nie z tytułu obecności na liście, ale za rzeczywiście wykonane wyroki. Każdorazowo to lokalni urzędnicy wybierali katów, ci cenieni otrzymywali więc większość zleceń, a początkujący - ledwie garstkę. „Wynagrodzenie za wykonanie oczekiwanych obowiązków zostanie wypłacone, jeśli praca i zachowanie zostaną uznane za należyte, zarówno w odniesieniu do samej egzekucji, jak i jej następstw. Przekazanie kwoty nastąpi nie wcześniej niż w dwa tygodnie po egzekucji” - informowano w poufnej, ministerialnej instrukcji dla katowskich asystentów.

Realna wartość honorariów stale malała. Stawki ustalono jeszcze w XIX w. i pozostawały niezmiennie przez 60 lat, niezależnie od inflacji. Asystent kata otrzymywał za jednego zabitego 1,5 funta, główny kat - 10 funtów. Na początku lat 30. kwoty te odpowiadały w przybliżeniu 550 i 3500 dzisiejszym zł.

Nawet najchętniej najmowany Thomas Pierrepont wieszał rocznie średnio tylko siedem osób. A początek lat 30. uważał za okres najgorszej posuchy. W kraju trwała dyskusja nad zniesieniem bądź radykalnym ograniczeniem kary śmierci. Raz po raz zaplanowane już egzekucje były w ostatniej chwili odwoływane z uwagi na ułaskawienie skazańca. „Niedługo wszyscy dostaną cholerną amnestię” - utyskiwał Thomas, zmuszony koncentrować się na innych zajęciach. W 1930 roku powiesił tylko trzy osoby. Rok 1931 wyglądał z jego perspektywy niewiele lepiej.

TEGO NIE DA SIĘ NAUCZYĆ

TEN WŁAŚNIE NAJGORSZY MOMENT NA ZOSTANIE KATEM WYBRAŁ DLA SIEBIE ALBERT PIERREPOINT - 24-letni syn Henry'ego i bratanek Thomasa. Nikt nie próbował wciągnąć go do „rodzinnego biznesu”; chłopak nie przejął, jak można by zgadywać, schedy po ojcu. Henry milczał jak zaklęty o czasach, gdy zabijał ludzi za pieniądze. Nigdy też nie wyznał rodzinie, dlaczego musiał rozstać się z katowskim zajęciem. Thomas tym bardziej nie zwierzał się przy młodym krewniakowi z tego, co czyni za murami odwiedzanych więzień.

Pomocą nastolatkowi, pragnącemu poznać prawdę o rodzinie, służyła tylko ciotka. To ona, gdy Thomas wyjechał na wieszanie, pozwoliła, by Albert dobrał się do jego skrupulatnie prowadzonych dzienników. Już ta lektura ugruntowała fascynację chłopca katowską sztuką. Kiedy zaś w roku 1922 przedwcześnie zmarł ojciec Alberta, 17-latek odziedziczył wszystkie jego

dokumenty z dawnych lat i zaczął na własną rękę uczyć się teorii szybkiego i profesjonalnego uśmiercania.

„Wieszanie ma się we krwi” - stwierdził wiele lat później we własnych, wydanych drukiem pamiętnikach. „Wymaga wrodzonych predyspozycji. Osądu i wyczucia właściwego pierwszorzędemu katu nie da się nauczyć”. Tak myślał już w młodości, ale władze wcale nie podzielały jego opinii.

Wiosną 1931 roku, w tajemnicy przed stryjem, Albert wysłał taki list, jak jego ojciec trzy dekady wcześniej. Do komisarza więziennictwa pisał: „Uniżenie pragnę zaoferować swe usługi jako asystent kata dla swego stryja T.W. Pierre- pointa w dowolnym czasie, gdyby on lub inny kat zrzekł się swej pozycji. Mam 26 lat, jestem dobrego zdrowia i silnej budowy ciała, a na przestrzeni ostatnich lat dogłębnie przestudiowałem sztukę przeprowadzania egzekucji, wyliczania długości liny itd. w oparciu o materiały mego zmarłego ojca, pana H.A. Pierre- pointa. Z nadzieją, że mój list spotka się z Pańską aprobatą, jestem Panie Twym posłusznym sługą”.

Odpowiedź nadeszła już po paru dniach. Była odmowna. Albert nie ustawał jednak w staraniach. W przeciwieństwie do ojca nie miał rozterek i obaw. Wiedział, że niczego nie pragnie bardziej niż zostania katem i że zawód ten nie będzie napawać go wstydem, lecz dumą.

Wreszcie zdołał dostać się na badania i na specjalny egzamin. Komisyjnie powiesił kukłę, rzetelnie wykonując wszystkie kroki konieczne podczas egzekucji. To wciąż było jednali zbyt mało, by dostać się na oficjalną listę. Wpierw musiało zwolnić się na niej miejsce. Albert wiedział, że może czekać nawet latami. Ale okres niepewności potrwał ledwie kilka tygodni.

Szkolenia i testy młody Pierrepont ukończył w sierpniu 1932 r., a już we wrześniu samobójstwo popełnił kat John Ellis. Ten sam, który dwie dekady wcześniej był asystentem Henry’ego i przyłapał go na piciu w pracy, doniósł o tym władzom i sprawił, że ojciec Alberta stracił posadę. Teraz jego odejście sprawiło, że przedstawiciel kolejnego pokolenia Pierrepontów mógł dołączyć do grona „osób uprawnionych do wykonywania kary śmierci”.

ALE MI ZDRĘTWIAŁO RAMIĘ

W1932 R. ALBERT ASYSTOWAŁ PRZY JEDNEJ EGZEKUCJI, w 1933 przy czterech, w 1935

Wieszanie trzeba mieć we krwi

Wpisany przez Reb. Janusz Baranowski
Wtorek, 25 Luty 2020 00:00 -

znów tylko przy jednej. Cały czas pracował jako kierowca dostarczający towary z hurtowni spożywczej. Nie musiał ukrywać, co robi, gdy bierze parę dni wolnego - szef cenił go za wyjątkową sumienność i nie przeszkadzało mu, że Albert od czasu do czasu pomaga zabijać ludzi.

Wymarzona kariera Pierrepointa nabrała tempa dopiero po wybuchu II wojny światowej. Inny asystent awansował na głównego kata i okazał się zupełnie nieprzygotowany do samodzielnego wypełniania obowiązków. W kluczowym momencie Pierrepoint przejął od niego pałeczkę i osobiście dopełnił wszelkich czynności koniecznych do zabicia więźnia. Po ośmiu latach asystentury został katem. Pierwszą egzekucję przeprowadził w 1941 r. Potem były ich setki.

Wieszał morderców, szpiegów, dezerterów i sabotażystów. Pracował dla cywilnego wymiaru sprawiedliwości, ale najmowali go też Amerykanie, by uśmiercać ich żołnierzy skazanych na śmierć. Bezpośrednio po wojnie otrzymał stopień podpułkownika, by móc wieszać zbrodniarzy wojennych, między innymi z obozów Auschwitz, Bergen-Belsen i Neuengamme. Uśmiercił ich 226. Gdy zdarzyło się mu zabić w ciągu dnia 17 osób, westchnął: „Ale mi zdrętwiało ramię”.

Wieszał też Polaków. W kwietniu 1946 roku w Anglii uśmiercił dwóch polskich dezerterów, skazanych za zamordowanie Rosjanina trudniącego się nielegalnym handlem. Rok później trzech naszych żołnierzy w brytyjskiej strefie okupacyjnej i jednego w Bristolu (za gwałt i morderstwo staruszki). W 1948 roku kolejnego polskiego dezertera w Szkocji. A to tylko część listy.

Karierę zakończył w roku 1956 z własnej inicjatywy. Do tego czasu wziął udział w przynajmniej 435 egzekucjach, choć liczba ta może być znacząco zaniżona. Skupił się na prowadzeniu pubu wraz z żoną. W wydanej w 1974 roku autobiografii stwierdził, że jest przeciwnikiem kary śmierci. I że nie uważa, by setki przeprowadzonych przez niego egzekucji przyniosły jakikolwiek pozytywny skutek.

Reb. Janusz Baranowski